

Adam Wlaryga-Miniński

MALŻEŃSTWO WOJENNE.

Powieść z dni ostatnich

28

Ze zdrowym apetytem młodości zaczęli zmiatać krajanki chleba, przyczem Jurek bardzo zżęcznie, a nieznacznie, podsuwał swojej towarzysze największe i najsmaczniejsze kaski. Jedli żartując wesoło i rozmawiając swobodnie, trochę bełzadnie, jak dwoje dzieci, które mają sobie dużo do powiedzenia, jak zgodne, kochające się rodzeństwo.

Jurek mówił mniej, powściągliwiej, poważniej. Opowiadał o swoim życiu w Legionach, o przeróżnych przygodach w polu, o tem, jak zdawał maturę. Nie wspominał jej jednak ani słowem, że przez te wszystkie lata niewidzenia szukał jej, tęsknił, pisał, nie otrzymując odpowiedzi. Nie powiedział, że pewnego razu wybrał się piechotą w mródz, z prowincjonalnego miasta, w którym go umieściła matka, do Krakowa. Trzydzieści kilka kilometrów przejechał, z zębami do szpiku kości, aby zobaczyć ją, Józję. I nie zobaczył.

Nie mówił jej o tem. Bo po co. Nie miał prawa i nie chciał mieć jej spokoju. Wstydliwość gorącego, a czystego uczucia zamykała chłopcu usta.

Józja trzepała po swojemu, o wszystkim i o niczem. Nareszcie mogła wygadać się za wszystkie czasy.

Powodowana nieprzepartą potrzebą szczerości, opowiadała o sobie bardzo otwarcie, nie spospirzegając, że mówi za dużo.

Nie zwróciła też uwagi, że niekiedy złotawe brwi Jurka zbiegały się w posępną faldkę, co na całą twarz rzucało cień ponurości.

Krajanki chleba zniknęły przy tej pogawędce z zadziwiającą szybkością, że aż dziwić się można było, iż nie udławili się, jedząc tak prędko i mówiąc przy tem tak wiele.

— Tak, tak — kończyła Józja, dogryzając ostatni kawałek chleba z kielbasą — dużo ja przeszłam od tego czasu, kiedyśmy się ostatni raz widzieli. Patrzcie państwo! A tośmy już wszystko zjedli! Czy tylko pan nie głodny jeszcze? Bo ja tak „pucowałam“, jakbym ze trzy miesiące nie jadła!

— Jestem tak syty, żebym już ani kęska przełknąć nie mógł! — zapewniał Jurek. — Chyba parę wisien na deser.

— Ba! Skądże wziąć wisien?

— Znajdą się. Ta Terenia, taka dobra, taka pocziwa, pamiętała o wszystkim.

Składał cały ciężar pamiętliwej dobroci na kuzynkę, nie dodając, że sprawunki te załatwiała z jego polecenia i za jego pieniądze.

Wyjął torbeczkę ze ślicznymi, purpurowymi wiśniami i podał Józji.

— Proszę...

Wzięła już bez wahania.

— Jakie pyszne wiśnie! Pierwszy raz tego roku jem wiśnie!

Mówiła prawdę. U pani Żarnickiej kupowano wprawdzie wiśnie całymi koszykami, zjadała się nimi nawet służba, ale synowej nie częstowano nigdy.

— Proszę pani, jeszcze więcej. O, tel takie duże, piękne, czerwone... W sam raz dla pani...

— Nie, nie... — broniła się — nicby dla pana nie zostało...

— Kiedy ja nie bardzo lubię owoce...

— Albo to prawda?...

— Rzeczywiście... Nawet szkoda mi...

— Ale już!... Niby to ja tak byle czemu uwierzę!... — śmiała się, przechylając na bok głowę.

Prześlicznie wyglądała z dużą wiśnią w ustach, równie świeżych i pełnych, jak dojrzały rumiany owoc.

— O! Dla pana... Dla Jurka ta parka... i ta... i jeszcze te trzy... Proszę jeść, bo ja tak kaze... — wkładała mu sama wiśnie w usta.

Jurek połknął wiśnię razem z pestką i ująwszy rękę, która mu ją podała, złożył na niej pocałunek... Delikatny, subtelny pocałunek, niby muśnięcie skrzydeł motyli o płatki wiosennego kwiatu.

Józja przez chwilę nie cofała ręki, zapatrzona w głęboką toń jasnych oczu Jurka...

Potem usunęła się łagodnie i lekko westchnęła.

Dlaczego?... Czy wspominała, czy porównywała, a może żałowała czegoś...

Nic rozmowy urwała się jakoś... Zapanowało milczenie. Oboje zdawali się być zasłuchani w monotony łoskot biegnących po szynach wagonów.

Wiem pociąg zaczął zwalniać i zatrzymał się.

— Co to za stacya? — zapytała Józja.

— Iakaś mała stacyjka.

Stabo połyskiwało jakieś jedno światło. Nazwy stacyi nie podobna było odczytać. Ale oznajmił ją konduktor, przeciągłym głosem wołając:

— Stacya Zalesinki!...

— Co? Zalesinki?!

Józja, jakby poderwana prądem elektrycznym, rzuciła się ku oknu.

Ale pociąg już ruszał, bo zatrzymywał się na tej wiejskiej stacyi tylko jedną minutę.

Józja osunęła się na ławkę i kryjąc czoło w dłonie, powtarzała sama do siebie:

— Zalesinki... Zalesinki...

Głos jej drgał żalem, tęsknotą, wzruszeniem.

— Pani Józjo — Jurek dotykał jej ramienia.

Podniosła głowę.

— Dziwi się pan, że mnie tak ta stacya wzruszyła. Ale te Zalesinki to tyle wspomnień dla mnie... Tutaj mieszka moja najdroższa, najukochańsza przyjaciółka... I ona nie wie nawet, nie przeczuwa, że ja tędy przejeżdżam...

— Może ją pani przecież kiedy indziej odwiedzić.

Wstrząsnęła smutnie głową.

— Nie mogę...

— Dlaczego?

— Bo tak... — brzmiała mało wyczerpująca odpowiedź.

Po chwili Józja dorzuciła:

— Czuje pan, jak pachnie od pól, od lasów Zalesińskich?...

— Nie.

— Prawda, bo pan nie był w Zalesinkach...

— Niech mi pani coś o nich opowie. — prosił.

— Lepiej nie...

Pałała ją ochota, żeby mówić i mówić, ale powstrzymywała się. Wszystkiego nie może przecież powiedzieć Jurkowi.

Zamyśliła się i siedziała teraz cicha, skulona w kącie. Jurek obserwował ją z niepokojem.

— Jak pani znowu posmutniała...

— El Bo, gdyby pan wiedział...

Pochylił się ku niej nieco i tulił ją wzrokiem, jak matka chore, spłakane dziecko.

— Wiem, że pani jest bardzo dobra i... bardzo biedna... — szepnął tak cicho, że zaledwie dosłyszała.

— Ze jestem biedna, to prawda... ale dobra, to nie... Ja na moje biedy najczęściej zasługuję. Pan to jest dobry... albo Anielka... Ale ja... Pamięta pan, jaka to ja wtedy... przed laty zła bywałam dla pana?...

— Już nie pamiętam... — odpowiedział zupełnie szczerze.

Myślał o niej zawsze, jak o czemś bardzo jasnym, promiennym i drogiem, a nie pamiętał dąsów, kaprysów, szorstkich odpowiedzi, którymi go nieraz dookliwie dręczyła i raniła.

Józja popatrzyła na niego z serdeczną wdzięcznością.

— Bo pan jest dobry... — powtórzyła — i pan mnie...

Zawahała się chwilę, szukając w myśli słownego określenia.

— I pan mnie lubi... — dokończyła ze słodkim dziewczęcym uśmiechem.

Gorące, złote błyski strzeliły z oczu chłopca i zagasły prędko. Jurek targnął nerwowo jakiś guzik przy mundurze i nie odpowiedział.

Milczeli zadumani oboje. Józja oddychała trochę ciężko, a Jurek otarł kilka razy chustką pot z czoła, bo powietrze w przedziale duszne było, suche, przegrzane.

— Tak mi się pić chce...

Jurek rzucił się do swego plecaka i po chwili wydobł niedużą, płaską flaszkę, napelnioną rubinowym płynem i składany aluminiowy kubek.

— Niech się pani napije kilka kropel...

— Co to?

— Wino.

— El Nie lubię... Pewnie kwaśne...

— Właśnie, że nie, słodziutkie... Proszę tylko spróbować...

Wzdragała się i odsuwała pełny kubek.

— Nie, nie... Nie jestem przyzwyczajona do alkoholu. Jeszczebym się upiła...

— Co?... Jednym kubkiem? — zaśmiał się Jurek.

Dała się w końcu namówić i przełknęła trochę wina. Zasmakował jej chłodny, słodki napój. Wypiła kubek do dna, a potem jeszcze drugi.

— No, a teraz pan...

Jurek dziwnym wzrokiem spoglądał w głąb kubka, gdzie pozostało kilkanaście kropel niedopitego przez Józję wina. Nie dolał, ale przechylił kubek i wysączył do kropelki.

Twarz Józji okryła się nagle purpurą.

— Będzie pan wiedział moje myśli... — zaśmiała się, aby ukryć zmieszanie.

Wypiłe wino i ciepło panujące w przedziale rozmarzyły młodą kobietę. Zmęczona była zresztą, bo ubiegłej nocy niedobrze spała ze zdenerwowania.

Przeciągnęła się jak kotka i ziewnęła dyskretnie. Powieki same opadły jej na oczy.

— O! Jaka ja jestem senna...

— Zaraz pani urządzą posłanie...

Drewnianą, twardą ławkę zaścielił swoim płaszczem, kocik wełniany zwinął i zrobił z niego rodzaj poduszki. Wyglądał to improwizowane posłanie, układał, poprawiał — aby jej tylko było najwygodniej.

— Już może się pani położyć. Twardo będzie trochę, ale cóż robić.

— Ależ doskonale. Jak pan to wspaniale urządził. A pan? Jakże? Tak na gołej ławce?

— Pani zapomina, że ja jestem żołnierz! No, proszę spać spokojnie, ja będę czuwał nad panią.

Oparła już głowę o zwinięty kocik i przymykała serne oczy.

— Dobranoc, panie Jurku.

— Dobranoc.

Była tak znużona, że po upływie dwóch minut pierś jej podnosiła się już rytmicznym oddechem spokojnego, głębokiego snu.

Jedną rękę podłożyła pod policzek, druga opadła jej wzdłuż ciała.

Puszysta, lśniąca, jedwabista masa tarta się o szorstką wełnę kocika i złotawo brązową ramą okalała twarz.

Zamknięte powieki rzucały długi cień na policzki. Półotwarte usta czerwienią dojrzałych jagód kalinowych odbijały od cery bladej, przejrystej, delikatnej.

Józja była dziwnie piękna w tym śnie, ale teraz dopiero można było zaobserwować dokładnie, jak bardzo pobladła i zmizerniała.

Jurek siedział cichutko, bez ruchu i uparczywie wpatrywał się w nią. Teraz, kiedy nie mogła go widzieć, pozwalał oczom swoim błądzić po tej prześlicznej twarzy, pieścić ją wzrokiem rozpromienionym błogością nieskończoną i uwielbieniem. Spoglądał na Józję tak, jak spoglądać może tylko miłość czysta, świeża, nieskalana, nie znająca jeszcze śmiałych, określonych pragnień, czerpiąca z samego widoku ukochanej istoty, z pocucia jej bliskości rozkosz bezbrzeżną i upojenie.

— Moja królewna... Moja gwiazdka... Józja... Józja...

Wzięła go nagłe ochota, aby się pochylić nad nią, poczuć ciepło jej oddechu i zapach włosów. Ale nie śmiał. Przeląkł się własnej zuchwałości, jak mu się zdawało, myśli.

Józja była dla niego świętością, a zresztą przypominał sobie...

— Nie moja!... Nie moja!...

Jurek ukrył twarz w dłoniach. Wstrząsnęło nim coś, jak krókie, urywane łkanie. Ale opamiętał się szybko. Przesunął ręką po czole, po oczach i znowu z wyrazem zachwytu i uwielbienia wpatrywał się w uspioną spokojnie młodą meżalikę. Miał teraz w oczach jakieś wilgotne blaski, jakąś głąb tej podniosłej tęsknoty, co kaze człowiekowi wznosić myśli i serce do gwiazd jasnych, cudnych, promiennych, a dalekich i niedosiegalnych.

Pociąg mknął po szynach z jednostajną szybkością, na stacyach zatrzymywał się krótko, gwizdał, dyszał, sapał i biegł dalej, niby jakiś potwór, ziejący ogniem w tłumie dymów, w deszczu złoto-czerwonych iskier.

Noc była ciemna. Na korytarzu i w sąsiednich przedziałach cisza. Śnać posnęli wszyscy.

Jurek zasunął firanki na lampę gazową, bo spospirzegł, że powieki śpiącej zadrgały. Obawiał się, że światło ją razi i może się obudzić. Przyciemnił jej więc, i oparłszy się plecami o ścianę, trwał bez ruchu i czuwał.

(Ciąg dalszy nastąpi.)